

## Bronisław Wildstein: Ukryty

W tej zabawie wykuwamy nowego człowieka



Ukryty to opowieść o zagadce trzech śmierci, które

wydarzyły się w warszawskim środowisku artystycznym w lecie 2010 roku. Próba ich rozszyfrowania to także odsłanianie kolejnych warstw III RP po tragedii smoleńskiej w cieniu walki o krzyż na Krakowskim Przedmieściu. To opowieść o manipulacji, w której ztraca się realna rzeczywistość, ale także o uniwersalności polskich zmaganiań o prawdę.

Ukryty

Bronisław Wildstein

Wydawnictwo Zysk i S-ka

Liczba stron: 256

## **W tej zabawie wykuwamy nowego człowieka**

Morski jest szczęśliwy. Przepycha się do baru i wypija kieliszek. Manifestacja okazała się sukcesem, który spotęgowały — a w dużej mierze stworzyły — media. A więc głównie on, który wiedział, jak z nimi grać. Wprawdzie teraz to Pyrka stoi w centrum uwagi przy kontuarze i odbiera gratulacje oraz toasty, ale wszyscy rozumniejsi wiedzą, kto pociąga za sznurki. Przecież wielu gratulowało Morskiemu.

Gęsty tłum w barze faluje, przekrzykując się i wymieniając uwagi na temat demonstracji pod krzyżem, wibruje tymi samymi emocjami. W sztucznym świetle, w pocie i upale twarze mienia się, zmieniają, przybierają fantastyczne kształty. Postacie w knajpie, często w dziwacznych przebraniach, robią miny, przedrzeźniają kogoś, udają co chwilę kogo innego, bawią się swoimi wizerunkami. Niedaleko drzwi tłoczy się grupa w strojach zakonnych. Chłopak przebrany za zakonnika usiłuje chłostać różańcem chichoczącą dziewczynę w habicie, co w tłoku okazuje się niewykonalne, ale i tak budzi radość. Ktoś próbuje wymachiwać krzyżem, do którego przybity jest skręcony w agonalnym skurczu embrion z zielonego plastiku. Mężczyzna w luźnej tunice potrząsa głową zwieńczoną cierniową koroną z gumy i obejmuje wystylizowaną na Matkę Boską, pijaną dziewczynę. Ktoś na koronę nakłada mu błazeńską czapkę. Morski orientuje się, że najwięcej tu przebranych za błaznów, czasami tylko z błazeńskimi rekwizytami. Wiele osób namiętnie potrząsa kaduceuszami w kształcie ozdobionego dzwoneczkami krzyża. To chyba także był pomysł Rosy. Zaordynował, aby zamówić sporą dostawę tych rekwizytów i obdzielać nimi gromadzących się w knajpie. Morski raz jeszcze musi go docenić.

Pomimo tłoku klientela baru pulsuje jak wielki organ. „Ruch jest

wszystkim” — przypomina sobie nie wiedzieć skąd Morski. Tutaj każdy może być każdym i nawet nie trzeba zakładać masek. Czuje nie tylko radość zwycięzcy. Tak samo cieszył się z pogwałcenia tych, których tak nie znosił, płaczkliwych bigotów, którzy domagali się cięgow, a więc otrzymywali je. Nienawidził w nich wszystkiego: ich jęklitych zawodzeń, zwanych śpiewami, ciągłego upokarzania się: „Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina”. Z odrazą przypominał sobie modlące się ciotki. Nie chciał myśleć o matce. Te ofiary, wiecznie na kolanach, dostały wreszcie to, na co zasłużyły.

Młody człowiek obok chwali się, że jednym kopniakiem położył na bruku klęczącego pod krzyżem mężczyznę. — Będzie mu wygodniej — zaśmiewa się. Wtórują mu. Morski wyobraża sobie pełzającego po ulicy ludzkiego insekta. Miał to, czego pragnął! Należałoby go rozgnieść. Załatwimy im męczeństwo, chce krzyknąć, ale powstrzymuje się. Ci pod krzyżem, w kościołach to atawistyczne odpadki ludzkiego gatunku. Należy je poddać eutanazji, pozbyć się jak niechcianego płodu. Resztę, to tępe stado, trzeba rozgonić, pognać jego przewodników, tłustych kacapów wystawiających do pocałunków upierścienione łapska. Oni tu, połączeni wspólnym entuzjazmem, razem podskakujący i pokrzykujący, zrobią to. Nawet jeśli gromadzą się wokół Pyrki. Po raz pierwszy Morski pojmuje satysfakcję Rosy. Wprawiać rzeczy w ruch i pozostawać ukrytym za parawanem. Aby jednak nie przesadzać z anonimowością, opierając się o kontuar, woła tak, że na moment wszystko cichnie: — Za sukces! Kolejka dla wszystkich! Odpowiada mu spotęgowany ryk radości. Pomimo nocy upał ciągle trzyma w dusznych kleszczach. To już ostatnie kolejki, za które płaci Przybysz. Trzeba to wykorzystać. Tyle kobiet dookoła i wszystkie w zasięgi ręki. — Panie Morski, to naprawdę triumf! — Ktoś go obejmuje. To ten ważny gość, którego przedstawił mu Przybysz. Jego nazwisko wyleciało Morskiemu z pamięci albo nie dosłyszał go na czas. Potem głupio było się dopytywać.

— Świetnie pan to zorganizował. To pana chwila. Wiem, że zastąpił pan Rosę. Sądzę, że to dobrze. Pan jest praktykiem, a jednocześnie rozumie pan teorię. Pan wie, że to początek czegoś nowego, tacy ludzie jak pan... Najprędzej potrafią to wyczuć.

— Mężczyzna przed nim kurczy się w śmiesznych podrygach, kłania i chichocze. — Te kościoły w środku miasta... Należałoby przerobić je na puby albo inne lokale użyteczności publicznej. Niech służą wszystkim.

— Człowiek śmieje się znowu i kuli nad białem.

— To co? Napijmy się! — Podsuwa mu kieliszek. — Pan pewnie zdaje sobie sprawę, że to nie tylko zabawa? W tej zabawie wykuwamy nowego człowieka. Wolnego, otwartego na świat, tolerancyjnego. Koniec świata kapłanów, ich rolę przejął błazen, wspaniały, triumfujący błazen. — Wskazuje na osobnika w czerwonej czapce, który wpadł na Morskiego. — Jebać krzyż, jebać, jebać! — bełkotał pijany chłopak z kaduceuszem, który wysunął się mu z dłoni, a on opadł na kolana, próbując znaleźć go między nogami obecnych. — Karnawałowy żywioł zabawy! — chichocze człowieczek. — Niech pan patrzy! Otwierają się tak wielkie możliwości. Nawet ciało nie będzie przeszkodą, a jedynie jednym z atutów, żebyśmy tylko uwolnili się od przesądów i nauczyli korzystać z możliwości, jakie otwiera przed nami nauka. O wszystkim będzie decydować wola! — Wola? Czyja wola? — pyta Morski. Pogubił się w przemowie człowieczka, którego osoba i słowa wydają się emanacją ogólnego zamętu.

— Jak to czyja? — Człowieczek chichocze nad kontuarem. Jego twarz zdaje się rozpląwać w kolorowej mgle. — Pana, moja, nasza. Ludzka wola. To pan będzie rządził. Jak tu. To pan przecież pociąga za sznurki, a pajace podskakują wokoło, nie wiedząc nawet, kto je wprawia w ruch. Rozumie pan? Wola!

Te słowa brzmią dziwnie i Morski zastanawia się nawet przez moment,

czy rozmówca nie kpi. Ale tamten uśmiecha się ujmująco i podsuwa kolejny kieliszek. Morski znowu czuje się pewnie. Jest spokojny i nawet tłum przyciskający go do kontuaru, potrącający i odbierający oddech, nie przeszkadza znanadto. Jest przecież jego zwycięstwem. Człowieczek nachyla się ku niemu.

— Ta cywilizacja to balast, kamień u nogi, który nie pozwala nam poderwać się do lotu. Pan to rozumie. Musimy uwolnić się od wszystkich przesądów. A kiedy już uwolnimy się od wszystkiego i nie będziemy wierzyli w żadne przesady, w nic... to... co nam zostanie? Pan przecież wie! Morski przypomina sobie rozmowę z Keletem. Ale człowieczek nie daje się zastanowić.

— A pan? Pan może już być samodzielny. Rozumiemy się? Nie są już panu potrzebni żadni patroni. To co? Od teraz będziemy współpracować na całego! — Człowieczek chichocze, trącając się z nim kieliszkiem. Morski myśli, że wyraża to, o czym myśli on sam. Współpraca z Przybyszem to tylko krok w jego karierze. Z pewnością jeszcze czas jakiś będzie dla niego użyteczna. Ale nie może się do niej ograniczać.

W mrowiu mieniących się, uderzająco podobnych do siebie, chociaż tak różnorodnych, rozbawionych postaci Morski dostrzega kogoś innego. Rosa stoi oparty o kontuar, gapiąc się gdzieś niewidzącym, ponurym wzrokiem. Jego twarz zastygła w grymasie smutnego psa. Wygląda jak postać z innego świata zaplątana tu przez przypadek. Nic dziwnego, że otaczający nie zauważają go. Morski przepcha się do niego.

— Dobrze, że jesteś. Powinieneś teraz być z ludźmi. To, co się tu dzieje, to także twoje dzieło.

— Wiem o tym i również dlatego tu jestem.

— No, nie bądź taki smutny. Rozumiem twój ból, ale musisz się do niego wreszcie trochę zdystansować. Wypijmy za przyszłość. Rozejrzyj

się dookoła, przecież to także twój sukces. Rosa zwraca ku niemu nieruchomą twarz.

— Mówiłem, że dlatego tu jestem. I teraz chcę ci to wszystko przekazać.

— Wykonuje ruch, który pod naporem tłumu redukuje do drobnego gestu dłoni. — Całe moje dziedzictwo. Jest twoje. Pewnie będziesz się lepiej nadawał. To już twój czas. Ja się wycofuję. Za twoją pomyślność.

Morski pije, chociaż słowa Rosy irytują go nieco. Czy grubas wyobraża sobie, że nadal rozdaje karty, a on, Morski, potrzebuje zgody, aby przejąć jego dawną pozycję? Nie tylko on sam wiedział już, że jest lepszy od Rosy. Ten człowiek, z którym rozmawiał przed chwilą — teraz roztopił się w tłumie, ważna osoba, bardzo liczył się z nim nawet Przybysz — docenia go przecież. Ten triumf to dla niego tylko pierwszy krok. Ale Rosa cierpi, nie jest groźny, a Morski postanowił być wspaniałomyślny.

— W porządku. Ale przecież świetnie nam się współpracowało. Liczę, że jak dojdiesz do siebie, wrócisz do zespołu.

Rosa przymyka oczy i kręci głową. Morskiemu nie chce się kontynuować rozmowy, która psuje trochę nastrój, ale czuje się w obowiązku ją podtrzymać.

— Nie pozbierałeś się jeszcze. To zrozumiałe. Nie podejmuj teraz pochopnych decyzji. Rosa patrzy na niego, przez niego, jakby Morski pozbawiony był ciała. Nie odpowiada. Rozmowa z nim, jeśli można ją tak nazwać, staje się coraz trudniejsza, i dlatego z radością w gęstwie ludzkiej Morski dostrzega Ksawerego Starowina. Na początku nie za bardzo wierzy swoim oczom. Obecność w takim miejscu, akceptacja anonimowości w tłumie, wydaje się tak odległa od typowych zachowań artysty, że aż trudno jest w nią uwierzyć. Ale wpatrując się w człowieka, który tylko na moment skrzyżował z nim spojrzenia, już nieomal w tej samej chwili Morski jest pewny, że musi to być Starowin.

— Przepraszam, muszę przywitać się z Ksawerym — rzuca w kierunku Rosy i rozpoczyna mozolną wędrówkę przez ludzką gęstwinę.

— Cieszę się, że tu jesteś. Widziałeś manifestację? Wielki sukces! — wyrzuca z siebie, gdy tylko udaje się mu przedrzeć do artysty przez naciskające zewsząd ciała.

— A, to ty! Siewca chaosu. Dyrygent masy. — Starowin strąca rękę, którą położył mu na ramieniu Morski. — Tak, musiałeś tu być, to przecież twoje dzieło. — Wygląda na pijanego.

Morski cofa się. Starowin budzi jego niepokój. Ale postanawia stawić mu czoła.

— A co? Nie tylko twoje prowokacje się udają. To, co ja robię, to, co robimy, jest jednak na większą skalę. Ale nie bądź zazdrosny... Starowin nachyla się ku niemu, jakby miał zamiar go uderzyć.

— Nie porównuj mnie do siebie, ty... fagasio. A twoje prowokacje? — Starowin nabiera powietrza w płuca. — Twoje prowokacje są niczym. Wy jesteście niczym! Siewcy nicości. Produkujeście nicość. Głupio mi, że może i ja mam w tym udział. Jeśli jestem dla ciebie mistrzem, to rzeczywiście...

— Zaraz mistrzem! — warczy Morski, którego ogarnia złość.

— Masz rację. Tacy jak ty nie przyznają się do mistrzów, nawet nie rozumieją tej kategorii. A ty! Co się gapisz?! — Ten okrzyk nie był przeznaczony dla niego i zaskoczony Morski rozumie, że skierowany jest do Rosy, który w niewiadomy sposób dopchał się do nich i stanął tuż obok. Wpatrywał się intensywnie w artystę.

— Co, puszczyku, przyszedłeś mnie straszyć, obwiniać? Hu, hu! Możesz dać sobie spokój! Ciągłe nie wiesz, że nie możecie mi nic zrobić? Wróciłem dzisiaj z kolejnego, ale ostatniego już przesłuchania. To już koniec, sprawa zamknięta! Rozumiesz, ty, który gównie rozumiesz?

Morski uświadamia sobie, że śmierć dziewczyny Rosy mogła być jakoś powiązana z głośnym i dość ekscentrycznym samobójstwem Lucyny Horwat. Podobno wbiła w siebie siedem razy nóż, zanim umarła. „Kto z Ksawerem zadziera, ten z własnej ręki umiera”. To powiedzenie bawiło ich wszystkich czas jakiś. Z tego, co mówi artysta, wynika, że Rosa usiłował przedsiębrać coś przeciw niemu. Wyraźnie odbiło mu po śmierci ukochanej. Morski czuje zarazem rozbawienie i współczucie. Śmieszny grubas zupełnie stracił rozeznanie. Teraz stoi i bez słowa patrzy na Starowina, który wykrzywia się do niego w szyderyczym grymasie, zanim rzuca mu w twarz:

— A może zastanowisz się nad sobą? Ty nie brałeś w tym wszystkim udziału? Nie przykładałeś łapek do tych żalosnych zapustów? Nie wiesz, że karnawał to zawieszenie reguł? Myślisz, że tak bez końca i konsekwencji możemy sobie hasać? Popatrz!

— Dłoń Ksawerego zatacza krąg. — Przyzwyczajamy się, że nic nie ma znaczenia. A wtedy... — Starowin zawiesza głos. Jego twarz robi się jeszcze bardziej ponura. — Wtedy wszystko może się stać. I nikt tego nawet nie zauważy. Bo nie będzie już żadnego tabu. Popatrz na tych wokoło. — Ten gest jest bardziej zamaszty i zahacza parę najbliższych osób. Odwracają się zaskoczeni. Morski chce interweniować, ale ktoś, kto rozpoznał Starowina, zaczyna tłumaczyć coś innym. Artysta nie zwraca na to uwagi.

Mówi do Rosy, ale wygląda, jakby to słowa go opanowały, a on chciał tylko jak najszybciej się ich pozbyć.

— To nawet nie jest teatrzyk kukiełkowy, zobacz, jakie to płaskie, z papieru wycięte. — Trąca palcem ludzi w zasięgu ręki. Ktoś odsuwa się, ktoś się śmieje. — To cienie. Czy to nie ty ruszałeś grubymi paluchami, żeby widma tańczyły na ścianie? Ale ty też jesteś tylko pajacykiem. Jak wszyscy na statku tego kontynentu, który kiedyś nazywał się dumnie, ale teraz nieodwołalnie się pogrąża. Hop! Hop! To nam zostało. — Niezdarnie przedrzeźnia podskoki spod krzyża. Teraz nie kieruje się do

nikogo. Mówi w przestrzeń. — Hop, hop! Chcemy zagłuszyć nasz strach, zakrzyczeć naszą pustkę. Wymyślamy kolejne prawa, żeby osłoniły nasze lęki i egoizm. Wmawiamy sobie, że osłonią nas przed rzeczywistością, która szczyrzy zęby już za progiem tej knajpy. Wyzwoliliśmy się?! Od czego? Podskakujemy w tej plamce światła w oceanie nocy. Wiesz, jak ohydne potrafi być cierpienie i umieranie? — znowu mówi do Rosy. — I nic, nic nie mamy na ich usprawiedliwienie. W imię wolności zniszczyliśmy wszystko, co pozwalało je przetrwać. I nic nam nie zostało. Śmierć upadła, a my niszczyliśmy wszystko, co pozwalało nam stawić jej czoła. Wiesz, jak straszna jest ludzka śmierć?! — Starowin krzywi się w odrażający sposób. Wygląda, jakby miał zwymiotować. — Zezwierzęca nas. A jeśli wracamy do zwierzęcej natury jak ci tu, jak wy, jak my wszyscy, to świadomość jest tylko chorobą. Obciążeniem. Coraz mniej jej zresztą. Popatrz na te zwierzęta ludzkie. A ty? — zwraca się znowu do Rosy. — Ciesz się, że potrafisz jeszcze coś przeżywać — rzuca i, rozpychając tłum, kieruje się do wyjścia. Za nim w tym samym kierunku zaczyna przedzierać się Rosa.